ZDRÓJ WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK IV POZNAŃ KWIECIEŃ 1934 NR. 4 (31)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

STANISŁAW CZERNIK:

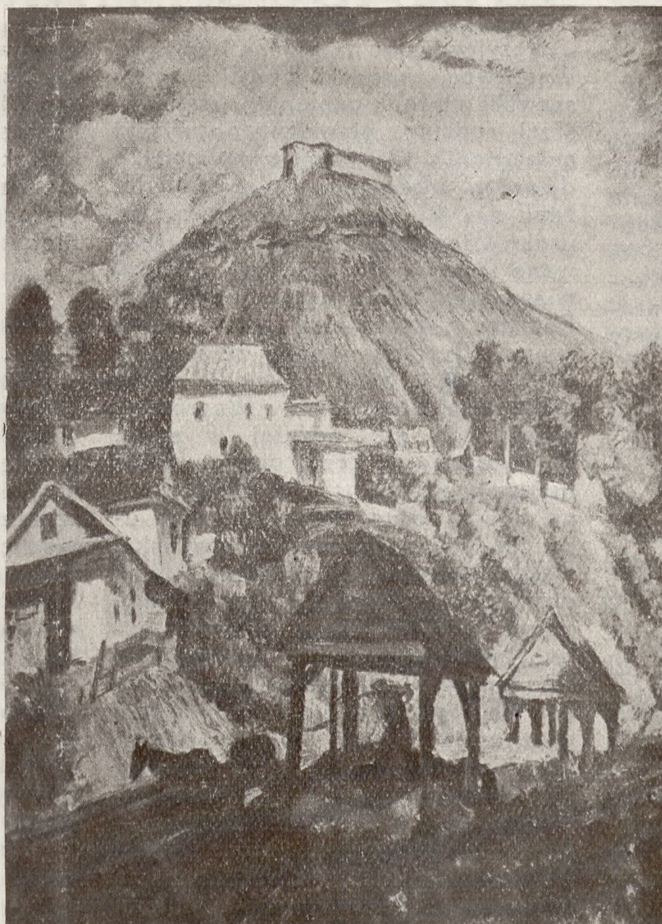
PRZECIW ZMYŚLENIOM I ZWROTCE

Współczesna poezja polska cierpi w niemałym stopnia na przerost t. zw. zmyślenia. Jest to maniera, która wcześniej lub później prowadzi poetę do fałszywych ujęć, — i, oczywiście, do „poezji", która nie jest poezją. Może tylko najgenjalniejsi poeci umieli — przy najwyższem napięciu intuicji i doświadczenia — przejść przez tego rodzaju bagniska bez unurzania się w błocie zakłamania. Poeta przeciętny (a doba dzisiejsza nie wydała ani jednego genjalnego poety); wchodząc na drogę zmyśleń, staje się ofiarą nieporozumienia.

Prawdziwe kwiaty poetyckie mogą wyrosnąć tylko z prawdziwej, autentycznej treści poety. Wiersze, oparte na innym materjale, z natury rzeczy nie mogą posiadać właściwości utworów żywych i wyrażają w najlepszym razie jakąś jednodniową, zdawkową wartość. Są to sztuczne kwiaty, naśladujące prawdziwą poezję.

Wielu poetów ze szkodą dla siebie i dla poezji uprawia dosyć lekkomyślnie kult zmyślenia, dając wiersze pozbawione jakiejkolwiek legitymacji. Krytyka literacka, w postaci przypadkowych recenzentów, toleruje ten stan rzeczy, — i sprawdzian autentyczności lub fałszu najczęściej nie wchodzi w rachubę. Ostatecznie, poeci przedstawiają nam nie to, co w nich jest, lecz to — czego niema.

Oczywiście, nie zawsze i nie wszyscy. Jeżeli mowa o odrodzeniu poezji, o rewizji stosunku poety do twórczości, — to z konieczności na pierwsze miejsce rozważań powinna wysunąć się ta najbardziej zasadnicza sprawa. Może stulecie „Pana Tadeusza", który jest stuprocentowem stwierdzeniem ważności materjału autentycznego, przyczyni się do postawienia najwłaściwszego obecnie dla naszej poezji hasła: walki o prawdę.



Leon Dołżycki *„Góra Król. Bony" (ol.)*

Stawiając sprawę t. zw. autentycznej treści poety, zbliżamy się do zagadnienia procesu twórczego, którego rezultatem jest wiersz.

Jakikolwiek byłby przebieg tego procesu twórczego, punkt początkowy jego powinien leżeć w treści, posiadanej przez poetę. Ta treść wewnętrzna poety jest materjałem, z którego może powstać wiersz. Jest to materjał niejednolity: 1) treść istotna złożona z przeżyć, obserwacji i przemyśleń, oraz 2) surogat treści. Weźmy przykłady. Treścią autentyczną poety może być np. kompleks jego wrażeń i wiedzy związanej z pojęciem świątyni, która w jego życiu odegrała jakąś rolę. Surogatem będzie wiedza poety np. o minaretach, jeżeli nie przebywał na Wschodzie i zagadnienie zna tylko z opisów i rysunków. Poeta wprowadzający do wiersza „swój" kościółek jest w zgodzie z prawdą, a wiersz o minaretach, złożony z surogatu treści, chociażby najpiękniej i najdźwięczniej został „zmontowany" pozostanie wiązanką pustych słów — surogatem wiersza.

Błędem jest rozpowszechnione twierdzenie, jakoby

było sprawą obojętną, czy poeta opowiada prawdę czy zmyśla, byleby dobrze opowiedział. Jest to twierdzenie obłudne, gdyż nie można dobrze opowiedzieć o tem, czego się nie zna. Zresztą sens wiersza może być fantastyczny w ostatecznym wyniku — dla czytelnika, — a nie naruszać kanonu wewnętrznej istotnej treści poety. Tego rodzaju ustosunkowanie się do twórczości jest sprawą dyscypliny artystycznej poety i sprowadza konieczność stosowania w sposób najbardziej kategoryczny sprawdzianu autentyczności. Postawiona teza w niczem nie przesądza sprawy wyobraźni poetyckiej i irracjonalizmu w procesie twórczym. Wyobraźnia i związany z nią irracjonalizm kryje się w korzeniach psychiki poety, nie w podobłocznych krainach, jakby się pozornie zdawało.

Stosunek poety do własnej treści decyduje o całokształcie procesu twórczego. Im mniej kompromisu z surogatem — tem więcej wiersz zbliża się do utworu prawdziwego, do dzieła sztuki. Im więcej tych kompromisów, — tem bardziej spada do znaczenia wypracowania literackiego, ujętego w rymy.

Poruszając to zagadnienie na gościnnych łamach „Wici", czynię to nie bez pewnych pobudek regjonalnych. Moja wiedza o Wielkopolanach pozwala mi widzieć w nich doskonały materjał na poetów, przestrzegających zasady autentyzmu, — do pewnego stopnia dzięki ich specjalnemu kanonowi psychicznemu. Ich przywarcie do korzeni, czujność w stosunku do siebie, większa niż gdzieindziej dyscyplina wewnętrzna — stwarza warunki niezwykle odpowiednie dla kultu autentyczności w poezji. Największy poeta wielkopolski, Jan Kasprowicz reprezentował te właściwości, — i one wyniosły go na szczyty.

Kwestja ta nie pozostaje bez wpływu na ustosunkowanie się do formy. Przyjęte dziś szablony zwrotek nie sprzyjają rozwojowi autentyzmu, zmuszając poetę do nieustannych kompromisów z surogatem na rzecz rymu lub rytmu, które przecież nie decydują o wartości wiersza.

Odważę się nawet postawić tezę, że Wielkopolanie nie nadają się do poezji „zwrotkowej", raczej odpowiada im forma „Hymnów" Kasprowicza.

Nie będzie to poważniejszą dygresją, gdy wspomnę o pewnej konkretnej obserwacji. Początkujący poeta poznański przysłał mi swego czasu do przejrzenia próbki swego pióra. Były to wierszydła świadczące o talencie, ale z widocznym trudem wpakowane w foremki zwrotek czterowierszowych i oczywiście bez uwzględnienia zasady autentyczności, do czego młodzi poeci są niezwykle pochopni. Poradziłem mu, jak mogłem, — i wynik nie dał długo na siebie czekać. Następna partja wierszy lśniła od świeżości, uwolniona od zwrotek dawała zestawienia prężne i przekonywujące. Nie od rzeczy będzie, gdy wymienię tutaj „Księgę Ozeasza" Stanisława Helsztyńskiego. Niektórzy recenzenci zarzucali temu przekładowi niemal brak języka poetyckiego. Będę tutaj przedstawicielem przeciwnego zdania. W książce tej widzę przekład artystyczny, pewnie niejednokrotnie ze śladami mozolnego zmagania się ze słowem, co zresztą nie pozwoliło poecie wpaść w szablon, tak częsty przy transkrypcjach biblijnych. Jestem przekonany, że wynik ten osiągnął Helsztyński dzięki zerwaniu z formą zwrotkową, która mimowoli niejednego poetę wprowadza na bezdroża.

Mój atak na zwrotkę, którą sam przez długie lata czciłem i honorowałem w wierszach, wyda się może niejednemu czytelnikowi herezją. Posunę się jednak w tej herezji dalej i będę twierdził, że metoda niezwrotkowa jest właściwie najbliższa Polakom, i ona łącznie z zasadą autentyczności powinna stanowić o polskim stylu poetyckim. Utwierdza mnie w tem przekonaniu i ta okoliczność, że wpływy polskie na poezję francuską w takiej właśnie przejawiały się postaci. Ostatnie zdanie brzmi może oszałamiająco, niemniej jednak zgadza się z rzeczywistością. Pierwsze programowe zerwanie z systemem zwrotki wprowadziła do poezji francuskiej Polka, pisząca po francusku, a zasadę autentyzmu połączoną z negacją zwrotki (zwłaszcza w najcenniejszych wierszach wojennych) z najwspanialszym skutkiem uprawiał Guillaume Apollinaire, Polak z pochodzenia (Kostrowicki).

Niech więc te uwagi usprawiedliwią przed czytelnikiem sens mojej „herezji", polegającej na tem, że styl polski w poezji chciałbym widzieć w przestrzeganiu stuprocentowej „prawdy poetyckiej", której nie można poświęcić ani dla potoczystej zwrotki, ani dla dźwięcznego rymu, ani dla kuszącej metafory.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI:

SZTAMBUCH MARYTY KAUER

Przyjeżdżając na wiosnę 1892 r. do Wągrowca, zapoznał się St. Przybyszewski z młodą panienką z ziemiańskiej rodziny, pełniącej obowiązki guwernantki w jednym z okolicznych dworów. Intencją matki poety było, żeby syn jej poślubił młode, pełne uroku dziewczę. Ani ona ani desygnowana synowa nie wiedziały o zobowiązaniach Stanisława wobec Marty Foerder, z którą miał pod ten czas syna w Berlinie, a bodaj że znał już Dagny Juel. Sielanka trwała przez cały pobyt Stanisława w Wągrowcu, przerodziła się później w stałą, korespondencję, przez pewien okres bardzo osobistą i gorącą. Ze względu na żyjącą dotąd bohaterkę tego uczucia, nie wyjawiam jej nazwiska.

Dla literatury rzecz ta ma jednak poważne znaczenie. Trzy lata później, pisząc trylogję „Homo sapiens", odtworzył Przybyszewski w powieści „Po drodze" ów epizod uczuciowy z r. 1892 i opisał z fotograficzną niemal wiernością postać Maryty Kauer, której prototypem jest właśnie panna z r 1892. Do niej odnoszą się niniejsze zapiski *z dzienniczka Falka — Przybyszewskiego,* przez które wyznał jej swoją miłość. Gwałtownością uczucia, niekrępowanego żadnemi względami moralnemi, dobrze oddają psychikę autora szkiców o Nietschem i Oli Hansownie, które właśnie wtedy stanowiły ostatnie osiągnięcie artystyczne Przybyszewskiego.

„Wiciom" przypada w udziale pierwszeństwo w drukowaniu tych kartek raptularza, zawierających pierwszą prozę Przybyszewskiego, piszącego ówcześnie wyłącznie po niemiecku.

Dr. Stanisław Helsztyński.

Poniedziałek d. 19 kwietnia 92.

...„Poznałem dziś kobietę, która silne wrażenie na mnie wywołała. I to dziwne, że w tej chwili, gdy ją zobaczyłem — uczułem silny do niej pociąg. Ja który zwykle godzinę na człowieka patrzę, zaczem przy pierwszem poznaniu słowo do niego przemówię, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie powiedzieć jej, że Inia bardzo urosła, od czasu gdym ją nie widział, że Jadzia się zmieniła, że... nie przypominam sobie, co więcej. Jest w niej coś takiego, co mi niesłychanie sympatycznem. To zupełnie sympatja rasowa. Wobec kobiety cudzoziemki nigdy nie zaznałem podobnego uczucia: Jest w niej coś tak na wskroś polskiego, słowiańskiego— jej ogromna wrażliwość da możność wczuć się w obcego człowieka, pojąć go — zrozumieć najdelikatniejszy zwrot w tonie jego głosu — nastroić się na tę samą nutę jaką obce serce gra. I to ciekawa rzecz. Ja który

obcą kulturą przesiąkłem, który wszystko w co jestem bogaty, wszystko, co mi daje moją siłę i potęgę mózgową, obcym narodom zawdzięczam, czuję się nawskroś Słowianinem, tak mi te nasze szerokie przestrzenie — to słowiańskie niebo— te wyschnięte burzany na naszych bachorzach, te moczary i przepadliska w duszę się wryły, tak się zrosłem z każdą chałupą — z każdą drobnostką, że tylko w tym kierunku odczuwać mogę. Jest we mnie, coś tak szerokiego — smutnego — tęsknego, jak te długie przeciągłe świstania, co je wiatr po naszych polach gra, — jest we mnie ta nawskroś słowiańska tęsknota, ta szerokość, ta wrażliwość, ta dziwna monotonia bez końca . . .

„I może to właśnie ten charakter rasowy, który mnie ku niej ciągnie. Jak mi było przyjemnie, gdy grałem jej Szopena i raz po raz rzuciłem spojrzenie w jej zasłuchaną twarz. Jestem pewnym, że w tej chwili oddała się całkiem muzyce — kto wie czy słyszała to, co grałem, ale każdy ton grał w jej duszy — myślę, że ludzie wrażliwi tylko w ten sposób muzykę odczuwają. Ja rzadko słyszę kiedy co mi grają, mnie muzyka rwie, targa, szarpie — jestem zupełnie bezsilny wobec muzyki.

Przypomina mi „Wisłę“ Begaża. To mi w tej chwili podpadło, to było jej czoło — taka na nim czystość i jasność, włosy przez wpół przeczesane — jak mi się to niesłychanie podoba — wciąż mi to czoło stoi przed oczyma. Gdzie Begaż to czoło widział — w tej chwili się cieszę, że tedy podwójnie Begaż Wisłę odczuwał, będzie mi ją przypominać. Lubię jej głos — sonor — czułem jak najwyraźniej, że głos ten nadzwyczaj przyjemnie na mnie działał.

Jak byłbym szczęśliwym, gdybym siostrę posiadał —wrażliwą — zdolną mnie odczuć — wychowałbym ją sobie, pieściłbym, kochałbym ją całą moją pustką, jaką odczuwam — całem mojem zniszczeniem, przywiązałbym się do niej każdą moją nitką nerwową — wszystkobym jej powiedział, — kobieta tylko odczuć i zrozumieć może — mężczyźnie co powiedzieć, to czeka tylko na to, rychło może przerwać zacząć o sobie gadać. W tej chwili widzę ją siedzącą przy kolacji, wsłuchaną w to, co jej gadałem. Tak mnie dawno nikt nie słuchał. W zachwyt mnie wprawiła tą swoją grą twarzy — widziałem, jak każde moje słowo — w jej twarzy się odbiło — jak ta twarz się wciąż przetwarzała, zastygła — topniała — przepisać tę twarz na nuty i grać — gdyby ona była moją siostrą — gdyby to było możliwe. Gdybym mózg mój mógł pod mikroskopem zobaczyć — jestem pewnym, żebym w każdej komórce mojego mózgu jej obraz zobaczył. Już uczuwam jakieś dziwne pragnienie widzieć ją, patrzeć na nią — słyszeć jej głos — zobaczę ją raz jeszcze — pragnienie się to spotęguje — a potem stanie morfiną i narkotykiem.

Środa.

Widziałem ją znowu. W tej chwili, gdy Tesio wszedł do pokoju po mnie, uczułem, jakby mnie ktoś szpilką ukłuł. Było to jakby jakieś drżenie się po mnie całym rozeszło — z całą świadomością pochwyciłem moje serce na gorącym uczynku — skąd to drżenie, przecież — nie dlatego, iż p. Kozł. mnie oczekuje. W tej chwili gdy Tesia zobaczyłem nerwy poczęły wietrzyć — gdyby to można rozanalizować — niepojęte głębie — a wszystko po za świadomością, nerwy moje dawno to wiedzą — czego ja nie wiem.

Cieszyłem się, gdy ją co zajęło, gdy mnie zrozumiała — odczuła — mnie to cieszyło, właśnie mnie, któremu tak zupełnie błahą rzeczą, czy mnie kto zrozumie lub nie. Od pięciu lat po raz pierwszy odczuwam te rzeczy, mają dla mnie niesłychaną wagę — zrobię na sobie eksperyment — może poznam na sobie istotę miłości — nic nie ryzykuję — ona innego kocha, a przynajmniej silnie innym zajęta — więc budzić miłość nieszczęśliwą — tragiczne — wszystko mi jedno — niech nerwy robią co chcą, a ja będę uczucia łowił i będę je analizował. Dała mi swój dzienniczek — chciałem go czytać jako psycholog, jako *document humain* — pragnąłem — starałem się a pomimo tego nie byłem w stanie. Za każdą razą, gdy czytałem „Cudowne Chabry“ cierpiałem, czułem jakby mnie ktoś szpilką w obnażone serce ukłuł. Teraz już tak późno, a wciąż stoję pod wrażeniem tego dzienniczka i cierpię — szarpie mnie to — żal taki głęboki — zdaje mi się, że byłaby wypełniła tę pustkę mojej duszy, że byłaby tak kochaną, jak się jej może nie śniło — ile tam pragnień i uczuć i cierpień na marne.

Pech! Słyszę walca Szopena — świat się kończy — odczuwam smutek tak głęboki, tak zrezygnowany — i tak mi w tej chwili wszystko jedno — i tak mi obojętne — tylko te chabry mnie męczą, nie mógłbym tego słowa wymówić, czuję wstręt — coś mi nie pozwala „chabry“ wymówić — moje *nervs d'arrêt* w czynności.

Ciekawym w jaki to sposób to wszystko powiązane.

Widzę ją — mój mózg się wiąże z jej obrazem — wpija się w moje myśli, moje pragnienia — moje wszystko ku niej skierowane — słyszę słowo, które się odnosi do jej stosunku z innym mężczyzną — i ja nad tem cierpię. I cierpię jak najoczywiściej, jakby mi te chabry ktoś na mózg położył. Jestem zazdrosny. Cham we mnie górą, — cieszyłem się, że się tak na nim zawiodła. Czemu się cieszyłem — spytajcie się moich nerwów.

Zresztą mi wszystko jedno — będę się kochał bez wzajemności — będę cierpiał — będę tęsknił, jak już dziś tęsknić poczynam, ale wszystko mi jedno, nie będę walczył przeciwko temu uczuciu, po co i na co — jedna nędza mniej lub więcej — to na jedno.

Zresztą, co za bajeczny ekperyment — kontrolować grę moich nerwów — być sobie świadomym każdego drgnienia, które odczuwam, każdej rozkoszy, każdego pragnienia — jakie miłość daje. Kocham ją stanowczo!

Czwartek.

Gdyby wiedziała, jak w tej chwili, gdzie zdawałem się całkiem zajęty rozmową — patrzałem na nią całem gorącem pragnieniem mej duszy, jak ją w tej chwili w sercu mojem pieściłem, jak w ręku uczuwałem drżenie, bo mi się zdawało, że jej włosy głaszczę. A jabym tak chętnie kląkł do modlitwy — niechby mi powtarzała słowa, które kocha, w które wierzy — jabym się pieścił jej głosem — głaskałbym jej ręce —wsłuchiwałbym się bez końca w tę harmonijną melodję jej słów. Zdrowaś Marjo — to leci — płynie — widzę fale bez końca, nasze polskie przestrzenie szerokie — widzę mrok, jak zwolna płynie na ziemie — słyszę Szopena: na obłokach rozłożony — płynie, płynie w dal... widzę jej czoło i te włosy przeczesane do skroni i tę jasność...

Jakie to piękne, jaką w tej chwili rozkosz uczuwałem pisząc to. To upojenie. I z tego stanowiska moje życie pojmuję.

Grałem jej dziś i chciałem rozmawiać, ale ona ma tyle względów, a w sąsiednim pokoju siedziała p. Z. Zreszą jest nawskroś Polską i co do wychowania. Względy i względy — niewolnictwo duchowe, doprowadzone do niemożliwości i tresura w cudowny sposób przeprowadzona. Polka odczuwa tylko tak daleko, jak jej względy pozwolą, tresura wpija się w mózg — w kość pacierzową.

Uspakajam się pisaniem, ale widzę jej zwrok — jakim otrzymał na pożegnanie, czuję go na mej twarzy, piecze mnie zupełnie siłą dotykalną, jakby mi kto rozpalony pieniądz przyłożył...

Co było we mnie najskrytszego — co mi największą rozkosz sprawia, co jest najsilniejszym wyrazem mojego organizmu, to ona wywołała z mojego mózgu, i wszystkie te uczucia spotęgowane do najwyższego stopnia ona koncentruje, skupia — wlewa w jedno wielkie uczucie miłości. —

Zkąd moja tkliwość — moja czystość po za całem zepsuciem, moja wrażliwość w najdrobniejsze odcienia uczuć i moja tęsknota.

Wszystko to się chowa daleko, głęboko — w przepaścistych głębiach mojej duszy, a że ona właśnie te uczucia najgłębsze, najdelikatniejsze, w których moje całe uorganizowanie najsilniej wyrażone, w duszy mi wskrzesza — wywołuje, że się z jej głosem — z jej ruchami i z jej czołem wiążą i zespalają, więc ją kocham. Nędza — ostateczna nędza. Jaka to dzika ironja — widzę kobietę pierwszy raz — w tej chwili poczynam się kochać — uczucia w kilku dniach potęgują się do niemożliwych wyżyn — kobieta pokrywa się z całą zawartością mojego mózgu — i na marne — zupełnie na marne.

— Niech mi będzie siostrą, będę jej ręce i nogi całował, będę ją kochał taką miłością, o jakiej nie ma pojęcia — żeby tylko mnie zrozumieć mogła. Ale to nie pójdzie — ona ma dogmat i względy. Więc na marne a cudowne chabry wwierciły mi się w mózg — czuję je jaknajwyraźniej, każda głoska jak kropla rozognionego metalu... —

Piątek.

Jest we mnie kawał psa, który czycha na jej każde spojrzenie, łaknie każdego słowa, któreby mi jakąś nadzieję dać mogło. — Zresztą moc symptomatów zastraszających.

Mówiąc dziś z nią potrzebowałem całej siły, żeby drganie mojego głosu zneutralizować i ciągłe obniżanie jego zrównoważyć. Oddychałem szybciej, często powietrza mi nie starczyło i skronie mi biły jakby młotem.

Hipnotyzujemy się wzajemnie, albo ona mnie hipnotyzuje. W miarę jak smutniała — odczuwałem taki wściekły smutek, że nie mogłem słowa ze siebie wydobyć. A teraz jestem zmęczony, zupełnie jakbym tortury przebył — uczuwam niesmak — wstręt — obrzydzenie. W miarę jak piszę uspakajam się cokolwiek i dla tego piszę.

Może mi da swój dzienniczek? ale musiałbym jej dać swój — musiałbym stanowczo za zaufanie zaufaniem się odpłacić. A gdybym jej dał? Co wtedy? Co powie? Do czego to doprowadzi?

Pozna psychologa — tego psychologa, co chciał jej dzienniczek czytać jako *document humain*, mam chęć śmiać się krwawemi łzami. Jest we mnie coś takiego, co pragnie jej dać — co mnie do tego formalnie pcha — a co potem?

Zresztą to wszystko jedno — ja nie mam względów — jam wolny — ja nie posiadam wstydu za to, że moje nerwy w nieświadomości robią — niech wie, że jest kochaną i jak jest kochaną. — Jutro sobie rozłożę to w dniu — na zimno — na trzeźwo.

Zrobię obrachunek ścisły — jasny, ale dziś nie mogę. Jestem chory, ręce mi się trzęsą — drga we mnie coś, jakby na ulicy ciężkie wozy przejechały i wstrząśnienia ulicy mnie się udzieliły. — Najdrobniejszy szelest porywa mnie w tej chwili, zaszeleściał papier na fortepianie, przestraszyłem się, jakby mi się dach nad głową zarywał.

Dajmy na to, że dam jej dzienniczek — co zrobi — co powie. —

Nic, może się oburzy — śmiać się nie może, bo są rzeczy z których śmiać się nie można — a potem stoję zbyt wysoko, by się ze mnie inteligentny człowiek, a ona jest stanowczo bardzo inteligentną — mógł śmiać — ja muszę być brany na serjo.

Oburzy się — dlaczego? Dla tego, że jest kochaną, że odpłacając się obcemu człowiekowi chociaż szczyptą wzajemności — zrobiłaby go może cokolwiek szczęśliwym, bo dałaby mu prawo mówić, jak się do siostry mówi.

Przypomina mi się, że miłość moja mogłaby ją kompromitować — przynajmniej zdaje mi się, że mogłyby to być względy, któreby jej nie pozwoliły chociaż drobnostką uczucia się odwzajemnić. Jeśli ma do mnie sympatję, toby się dało iść dalej — zresztą chabry stoją na przeszkodzie.

Ale kompromitować?

Gdyby się kochał człowiek wysoko położony — dobrze „urodzony“ pan na dwóch wsiach — wszakby ją to tylko cieszyć musiało, musiałoby to jej podchlebiać, głaskać miłość własną. — Czuję jednakowoż, że ja w tem zestawieniu z panem na dwóch wsiach absolutnie nic nie tracę. — Przedewszystkiem nie mogę być z nikim porównanym, sama mi dziś powiedziała, że nie zna podobnego człowieka. Bardzo jej wierzę i nawet ponadto ona nie wie, że jestem głębszy, jak ona odczuć mnie może i daleko wyższy, jak jej się zatem zdawać może — a jednak — jednak..

Nie cierpię nad tem — przypuszczenia tego rodzaju nie obrażają mojej miłości własnej, bo się stokroć czuję wyższym nad wszystko, co mnie otacza. — Mierzyłem swoją inteligencję z ludźmi stojącemi „auf der Höhe“ a pomimo to czułem się wyższy i oni mnie tak samo odczuwali gdzie im na to zazdrość pozwoliła. —

Zresztą co ja sobie z mojej inteligencji i mojej potęgi mózgowej robię — co mnie to wszystko obchodzi. — Pomimo wszystkiego czuję ból i siedzę jak ostatni nędzarz i wszystko mi się na nic nie zda.

Czuję, że w tej chwili, gdyby mi było wolno głaskać jej ręce — pieścić jej włosy — mówić jej to, co się na dnie mej duszy kryje — oddałbym z całą rozkoszą — moją inteligencję — moje myśli, moje wszystko. Czy byłbym szczęśliwy, to pytanie, ale wiem, że zrobiłbym to natychmiast.

W moim ręku panowanie tego świata — sam mam tylko prawo je sobie odebrać, nie będę czekał, aż mnie paraliż za serce chwyci. — Tymczasem nic — dziś Tobie oddaję się takim, jakim jestem — całym światem i panowaniem jego — duszą — rób co chcesz — Ty jesteś czystą — niezmierzoną głębią — bo pustką kocham.

Widzę Cię w tej chwili przy sobie i czuję się szczęśliwym — jak wtedy gdy mi dziennik dawałaś, bo czułem w tem więcej, jak proste zaufanie. Pomyliłem się, ale, że nic w zamian nie żądam i żądać nie mogę, więc to mnie już nie boli. — Stoję po za bólem, po za wszelkiem cierpieniem — wszystko mi jedno, nic mnie nie obchodzi.

Słyszę polonez Fis-moll w całej swojej niezmierzonej potędze — głęboki jak życie, ciemny jak noc — szeroki jak świat... Poczyna świtać. Trzęsę się jak osowy listek od zimna i wstrząśnień duchowych a twarz mnie pali — czy wzrok jej na mnie spoczywa?

Bądź zdrowa, lubo, jeżeli jadę — czy się kiedy jeszcze spotkamy?

HELENA MYCIELSKA:

WALC CHOPIN'A

Marya Wodzińska (pani Orpiszewska) przyjeżdża do Poznania!

Wiadomość ta przejęła i zelektryzowała mnie i marzyć zaczęłam o tem, by być na wieczorze, który miał być na jej cześć wydany. Przyjęcie to odbyć się miało u babki b. wojewody Adolfa hr. Bnińskiego znanej z uroku, dobroci serca i wielkiego rozumu pani Heleny Potworowskiej.

Ale jak to zrobić? Miałam lat piętnaście; o bywaniu tak młodego podlotka mowy być nie mogło, a jednak błogie miałam przeczucie, że na wieczorze będę, bo na nim być... muszę! Ona sama bowiem wzbudzała wemnie ogromne zainteresowanie: wiedziałam, że była natchnieniem Słowackiego, że myśląc o niej napisał „Szwajcaryą“, że dobrze znała Chopina, że z nim w Paryżu

grywała, że przyjaźnili się aż do śmierci, a mówiono nawet, że głębsze uczucie w młodych latach ich wiązało.

Utwory Chopina już od lat dziecięcych mnie zachwycały. Były dla mnie i pozostały szczytem piękna, niezrównanej harmonji i melodji. Byle tylko Marya Wodzińska zechciała zagrać na tym wieczorze!

Po długich targach i prośbach wyprosiłam, i rodzice moi przyrzekli mnie zabrać ze sobą. Ubrano mnie w moją najlepszą niebieską sukienkę i w zachwyt mnie wprowadzające nowe, srebrne pantofelki i pojechaliśmy, a w drodze myślałam tylko o jednem: czy zagra, czy zagrać zechce!

Zebranie było liczne, nie zważałam jednak na nikogo, bo tylko ją widzieć i na nią patrzeć chciałam. Poznałam ją zaraz, a raczej odgadłam, że to ona. Siedziała na fotelu w czarnej, aksamitnej sukni, trochę zgarbiona, otoczona ze wszech stron. Mało mówiła, nie ruszała się zupełnie; mimo sędziwego wieku włosy miała hebanowe, lecz twarz żółtą, zmęczoną, oczy dobre, duże, czarne.

Wciągnięto mnie odrazu do grona młodych i zabawa wrzała wśród śmiechów i ogólnej wesołości. Bawiliśmy się długo, ale im bardziej czas uchodził, tym większy ogarniał mnie niepokój i smutek, przeczuwałam bowiem bolesny zawód, bo godzina już późna, więc pewnie już grać nie będzie!

Naraz cisza ogólna ... pierwszy dźwięk! A więc jednak! Porwałam się i oparta o filar kolumny w najciemniejszym kącie salonu słuchałam zachwycona, nieruchoma, jakby skamieniała. Zdumiałam. Miękkie jej i śpiewne uderzenie przecudnie wycienione wyśpiewało i wypowiedziało wszystko to, co instynktownie i duchowo odgadywałam. A więc i ból i niepokój, niedoścignione marzenia lat młodych, a przedewszystkiem tęsknotę, szarpiącą niemiłosiernie piękną, przeczuloną duszę Chopina.

A gdy w nieuchwytnem prawie pianissimo rozwiał się ostatni akord cudnego preludjum ujętego w słowach o „Niewyjaśnionych snach" nie wytrzymałam, przypadłam do jej kolan i zaczęłam całować jej zimne, drżące ręce. A ona spojrzała na mnie temi dużemi, dobremi oczami, przygarnęła do siebie i powiedziała: „a teraz zagram coś dla Ciebie". I zagrała walc op. 69 Nr. 1. Znałam go na pamięć. Z pod jej drobnych paluszków wypłynęły subtelne, niespokojnie smętne tony, z których tak wyraźnie wypływała zawiedziona nadzieja i bolesna skarga... Lecz ta jedna ciągle powtarzajęca się nuta, niby dzwon zmarłego żegnający, czemu tak boleśnie, beznadziejnie się powtarza, co oznacza, co mówi, co tłomaczy?

Marya Wodzińska wstała, kazała mi się zbliżyć i czule powiedziała: „widzisz dziecko, Chopin kochał i czekał na przyjście umiłowanej kobiety... on grał... wybijały godziny a ona nie przyszła".*)

W drodze powrotnej zaszyłam się w najgłębszy kąt wagonu i z czcią i rozrzewnieniem składałam do mego skarbca duchowego najpiękniejsze, niezapomniane do dziśdnia wrażenia.

Zbudził mnie z zadumy głos mego ojca: „o czem myślisz, córuchno? — „O niewyjaśnionych snach i godzinach co biją" odrzekłam. Głos mi się załamał...

---

*) Kobietą „która nie przyszła" miała być George Sand. Walc ten Chopin dedykował Maryi Wodzińskiej słowami: „pour Melle Marie" i został wydany po jego śmierci w zbiorze „Oeuvres posthumes".

JAN SZTAUDYNGER:

DO WSPÓŁCZESNEGO POZNANIA

Twoje ulice są proste, jak strzelił,
Każdy dom niemal, jak bukiet ogród trzyma,
Lubię cię wciąż, lecz najbardziej w majowej bieli,
Gdyś, jak panna młoda i szczęśliwa.

Nietylko ludzi gościsz i zwierzęta,
Nawet słoń się twym obywatelem mieni,
W palmiarni tysiąc palmek depce sobie po piętach
I tysiąc dziwnych kwiatów podnosi główki z zieleni.

Jesteś szeroki, duży i rozmach masz i czystość,
Przyjemnie iść wieczorem po twoim skwerze,
Znużone dachy domów schowałeś w zieleń puszystą,
A w niebo puściłeś wieże.

Twój najcudniejszy klejnot, to ratusz,
Pewnie go jeszcze w darze dostałeś po pradziadku.
A ty sam Pewukę postawiłeś na podziw światu
I znowu swoim wnukom w czcigodnym zostawisz spadku.

Oddychasz równo, miarowo, rozłożony wygodnie i nisko,
Załatwiasz swoje sprawy, stolico Wielkopolan,
A Warta, twoja córa przybiegłszy do ciebie blisko,
W porywie pustej radości przybiegła do twoich kolan.

JULJAN SZPUNAR:

NIEDAWNE CZASY ODLEGŁEJ EPOKI

Cud zmartwychwstania Polski stał się zarazem cudem zmartwychstania naszego narodu.

Cóż w tem nadzwyczajnego, mógłby się niejeden zapytać? Słuszne pytanie, ale tylko pozornie i dlatego o tym cudzie wskrzeszenia świadomości narodowej, tego realnego poczucia godności plemiennej, pragnąłbym powiedzieć parę słów od serca, parę słów szczerej prawdy, by uprzytomniwszy sobie ten czarodziejski proces, śmielej i jasniej spoglądnąć w przyszłość.

W epoce kultu szarzyzny i codzienności chce przemówić człowiek pospolity, pionek, ów major Pyć z Kadenowskiego „Generała Barcza", któremu dzisiaj przypisuje się, słusznie czy niesłusznie, wielkie sprawy, wielkie dzieła, bo tworzenie wszelakiej rzeczywistości.

Otóż ten szary człowiek, „nieznany żołnierz" wykaże na własnym przykładzie, jak szybko, jak niespodziewanie szybko powstał nowy typ Polaka, tak ogromnie odległy od typów, spotykanych jeszcze na ziemiach naszych i w duszach naszych podczas huku armat światowej zawieruchy i suchego trzasku karabinów maszynowych.

Żyliśmy bowiem — niema co obwijać w bawełnę — w całkowicie odrębnych warunkach, dzięki którym zgubił się naród a narodził się

Poznańczyk, Królewiak, Galicjanin, Kresowiak... Żłobiły się z roku na na rok coraz wyraźniej te zaborcze typy a pojęcie narodu tuliło się po zżółkłych kartach dziejów i było jeno głosem zamarłej przeszłości. I słusznie zauważył genjalny Wyspiański, że Polska rzeczywista, z jej bogatą historją i kulturą, stała się mitem, legendą, przeciwko czemu tak namiętnie protestował Konrad z „Wyzwolenia".

Jak mało wiedzieliśmy wówczas wzajem o sobie! Nie zapomnę nigdy zakłopotania jednej wcale inteligentnej pani, która zapytawszy się mnie, nad jaką rzeką leży Poznań, dowiedziała się po raz pierwszy, że nad Wartą...

Jaka to odległa epoka! Jak odbiegliśmy od niej daleko! O ile wzbogaciła się w tym krótkim czasie nasza samowiedza narodowa!

Zobaczmy tedy na prawdziwym przykładzie, jak nagle odkryliśmy tę prawdę, że poza kordonami biją gorące serca polskie, które czekały tylko odpowiedniego momentu, by sobie uświadomić wspólne pochodzenie a kiedy Polska stała się radosną rzeczywistością, kiedy dusze nasze rozszerzyły się do granic historycznej Rzeczypospolitej, to samowiedza narodowa wybuchła potężnym płomieniem, zwracając się ognistemi językami ku braciom z Opola, Warmji, Mińska Białoruskiego i dalej nawet.

To dzisiaj, ale co było ongi, w tej odległej, przedwojennej epoce?

Posłuchajmy!

Jako Małopolanin uczyłem się historji „kraju rodzinego" w szkole, ale w domu jedną z pierwszych moich książek, był podręcznik Chociszewskiego. Po raz pierwszy spotkałem się wtedy z Wielkopolaninem, nie wiedząc wcale, kim jest kochany autor tej kochanej historji.

Później, gdym już był nauczycielem, zetknąłem się osobiście z żywym Wielkopolaninem, ajentem Rzepeckiego i zamówiłem u niego, zdaje mi się, historję Grabca. Pamiętam doskonale rozmowę z tym poważnym, władającym poprawną polszczyzną, człowiekiem i to, co mi opowiadał o Księstwie, wstrząsnęło mną głęboko.

Z Królewiakami stykaliśmy się częściej i o Kongresówce wiedziało się znacznie więcej. Było ich zresztą sporo w Małopolsce, ale cieszyli się smutną sławą. Co Królewiak, to socjalista, wywrotowiec...

Ale już wówczas w wyobraźni młodego społecznika począł się rysować jakiś mglisty obraz Polski międzykordonowej, który pogłębili znacznie Przybyszewski, Kasprowicz, Września, Drzymała.

LEONARD TURKOWSKI:

ZŁOTY PAN JEZUS

Czy to w czas mrozu, czy słoty,
czy w blaskach słonecznej spiekoty,
wisi na krzyża żelaznem drzewie —
ze zwykłej blachy, ale zawsze złoty
Pan Jezus na Chwaliszewie.

Pan Jezus jest taki dobry...
Tylko półbrzękiem zrzędzi,
kiedy na Chwaliszewskim moście
tramwaj zbyt szybko pędzi.

Pan Jezus jest taki dobry:
spogląda z wyżyn mostu
i chroni od utonięcia
kąpiących się w Warcie chłopców.

Pan Jezus jest taki dobry
i taki złoty poprostu:
ochrania łodzie rybackie,
stojące stale pod mostem.

Wśród bzów kwitnących, czy nagich,
wśród tłumów łaknących chleba,
odgania wszelkie plagi.
złoty zawsze i nagi
Pan Jezus z Chwaliszewa.

Przyszła wojna światowa, wędrówka narodów, mordowanie braci w innych mundurach... Pamiętam z tego okresu wstrząsające sceny. Mordowaliśmy braci na rozkaz Wiednia i Berlina. Któż bowiem przypuszczał, że pod szynelem rosyjskim bije gorące serce polskie?

Wreszcie dostałem się do niewoli. Wywieziono nas na Sybir, który się znało z „Anhellego", Grottgera, obrazów Malczewskiego, „Szkiców" Szymańskiego i innych.

W obozie jeńców w Tiumeniu usłyszałem pewnego razu szeptem prowadzoną rozmowę w języku polskim. Oglądam się i widzę grupkę żołnierzy niemieckich w znienawidzonych nam mundurach. Serce zabiło mi mocniej, zbliżyłem się do nich z pozdrowieniem, lecz moi rodacy pierzchnęli, oglądając się badawczo na wszystkie strony... Później dowiedziałem się, dlaczego Poznańczycy nas unikali (1914!), gdyż Niemcy uważali takiego, który mówi po polsku, za zdrajcę, notując jego nazwisko.

W temże samem mieście poznałem żołnierzy armji pruskiej, śp. Słarzonka, stolarza z Poznania. Schodziliśmy się u niego w pracowni (mieszkał poza obozem) i tu prowadziło się ciekawe rozmowy na temat Polski. Cóż, kiedy sympatyczne te pogawędki zatruwały nam orjentacje. Kłóciliśmy się o to, który z zaborców zwycięży??

Jakże to odległa epoka!! Z jakim bólem wspominam te rozmowy, w których brałem tak żywy bardzo udział. I ja bowiem (pocóż się wstydzić i zapierać?), nie wierzyłem w klęskę Niemców...

Odtąd jednak zbliżyły się do siebie oba zabory a Polacy z zaboru rosyjskiego robili wszystko, abyśmy się na wygnaniu czuli dobrze. Rozszerzały się szybko dusze nasze i myśli o niepodległości stawały się coraz głośniejsze. Wszak nieliczne jednostki wierzyły w nią niemal religijnie i wiara ta udzielała się innym. Kiedy przed kilku laty chciałem podziękować Słarzonkowi za te przemiłe w jego pracowni rozmowy, powiedziano mi, że już nie żyje. Umarł w Poznaniu. Ale natomiast odwiedziłem innego Wielkopolanina, z którym pracowałem dłuższy czas w Centr. Komit. Obyw. w Krasnojersku. Jest nim p. Marchlewski, urzędnik banku Kwilecki - Potocki. Jeszcze tam, w Syberji, boczyliśmy się nieco wzajemnie, nie rozumieli jeden drugiego bez reszty, teraz jednak wspominaliśmy jedynie te dawne, przedawne czasy, patrząc się na nas samych w owej epoce z politowaniem i pewną wyrozumiałością.

A dzisiaj?

Proszę przeczytać... w ostatnich „Wiciach" „Z gawęd na trzeciem piętrze" Witolda Noskowskiego, a otrzymamy odpowiedź. Nic nie potrzebuję dodawać do tego głębokiego i pięknego artykułu. Nawet separatyzm dzielnicowy wbrew przewidywaniom samego Przybyszewskiego zanika i występuje jedynie tu i ówdzie raczej pod postacią osobistego, nie innego antagonizmu.

Scaliliśmy się nader szybko, wobec czego możemy żywić nadzieję, że niebawem staniemy się narodem tak jednolitym, jak Francuzi, Niemcy czy Włosi.

Z cyklu: ZASŁUŻENI WIELKOPOLANIE

KAZIMIERZ FILIP WIZE

Syn dzierżawcy ziemskiego Filipa Wizego i Emilji Rakowskiej z Jeżewa, urodzony 1873 r. w Michorzewie pod Bukiem, uczęszczał Kazimierz do gimnazjum Marji Magdaleny w Poznaniu, poczem studjował medycynę w Wrocławiu, Monachjum i Berlinie. Po otrzymaniu doktoratu w Lipsku jedzie do Paryża, gdzie poświęca się w Instytucie Pasteur'a badaniom bakterjologicznym. Opublikowawszy razem z Janem Danyszem po francusku dwie prace specjalne, pisze skolei w Dublanach (Akademja Rolnicza pod Lwowem) w języku niemieckim dwie inne, drukowane w biuletynie Krakowskiej Akademji Umiejętności. W 1904 r. zostaje Wize członkiem lwowskiego Towarzystwa im. Kopernika. W organie tegoż pt. Kosmos ukazuje się jego rozprawa „O chorobach owadów". W następnym roku zapisuje się na wydział filozoficzny Uniwersytetu Lipskiego i niebawem ogłasza ciekawą pracę: O związku zabawy, sztuki i mowy (po niemiecku). Ze sławnych profesorów, których słucha, wymienimy chociaż Wundta i Riemanna. W r. 1907 zdaje doktorat filozofji na podstawie dyssertacji: Friedrich Iustus Riedel und seine Ästhebik.

W czasie wojny publikuje Kazimierz Filip Wize w Berlinie dość obszerną książkę p. t. Allgemeine Kategorienlehre. W latach 1916-17 wychodzą Wykłady filozoficzne (2 tomy), a w r. 1917 Wykłady metafizyczne. W odrodzonej już Polsce ukazuje się jego Nauka o pięknie i sztuce (Poznań 1924), dalej Zarys etyki jako nauka o szczęściu (Poznań 1926), Les catégories éthiques et les vertus (1926), Miscellanea, zjazdy filozoficzne (Poznań 1928, książka wydana w szacie wprost luksusowej) oraz cały szereg rozprawek i artykułów drukowanych w Archiwum Historji i Filozofji Medycyny. Ostatnie prace dr. Wizego ukazały się w Gnieźnie, gdzie autor obecnie mieszka.

Dr. Wize jest członkiem komisji matem.-przyrodniczej Towarz. Przyj. Nauk w Poznaniu i członkiem stałej Komisji Międzynarodowych Zjazdów Filozoficznych.

Z powyższego, niezupełnego, zestawienia prac widać, że dr. Wize poprzez badania przyrodnicze (drukowane także w poznańskich Rocznikach Towarz Przyj. Nauk) przeszedł do studjów filozoficznych. Zainteresowania jego są rozległe, dorobek naukowy wielki. Widać w jego pracach solidną podstawę klasyczną, zdobytą w gimnazjum poznańskiem i kolosalne oczytanie w literaturze przedmiotu.

Jako niespecjalista w powyższych dziedzinach ograniczam się tylko do tych, czysto zewnętrznych uwag o rozległej działalności uczonego. Wspomnę jednak, że prace jego są wymieniane w filozoficznych leksykonach niemieckich. — Przed wojną mieszkał dr. Wize w Jeżewie pod Borkiem i stamtąd datował swe rozprawy; z tego powodu wśród uczonych na Zachodzie mawiano, że w Jeżewie jest uniwersytet! Widzimy jaki rozgłos przyniosły tej wioszczynie wysiłki naukowe wielkopolskiego uczonego.

Powiem wkońcu o aspiracjach literackich dr. Wizego. W r. 1930 wydał on poemat opisowy w oktawach „z satyrycznemi uwagami entuzjasty' pt. Ameryka (Gebethner i Wolff). I w tej obszernej „epopei" podróżniczej widać przedewszystkiem szerokie horyzonty humanistyczne autora. Wzmianki o Wielkopolsce, jej stosunkach i ludziach, tu i ówdzie forma mowy ludowej urozmaicają ten opis podróży z „uwagami urągliwie zapalczywemi". Oto pierwsza oktawa z ustępu p. t. Ocean i Paryż:

W srebrną się bramę między światem
A nowym wciska mój okręt uparty. [starym
Za nim huragan wód gorących warem
Gna od Florydy, Miami z ziem karty
Zmiótłszy że prawie. Pod grozy my czarem
Ruszamy, jakie czekają nas straty
I gdzie, niepewni. Kapitan nie wyda,
Na ustach wszystkich Miami, Floryda.

A. Szyperski.

Z teatrów poznańskich

Teatr Wielki. W połowie marca skończył się sezon operowy; po półmiesięcznej przerwie został wznowiony głównie z powodu Targów Poznańskich. Zakończenie sezonu było godnem uwieńczeniem pracy kierownictwa i zespołu przez cały sezon. Odbyły się bowiem trzy koncerty symfoniczne i starannie wystawiane opery. „X koncert symf" przyniósł w programie Liszta, R. Straussa, Czajkowskiego, Mozarta i Webera. Dyrygował T. Mazurkiewicz; dwa sola fortepianowe, odegrała G. Konatkowska. Cały wieczór spotkał się z dobrem przyjęciem. W „Traviacie" zadebiutowała naogół udatnie p. Becka-Frankiewiczowa. Bardziej zainteresował jednak Gabryszewski w roli ojca Alfreda. Z operetek wystawiono „Wesołą wojnę" J. Straussa. Zastrzeżenia wobec zespołu operetkowego mamy takie jak dawniej: niewyraźna dykcja utrudniająca śledzenie toku akcji; stąd operetki mniejszą się cieszą popularnością aniżeli przedstawienia operowe. „Aida", dwukrotnie wystawiona, była ukoronowaniem sezonu. Stało się to głównie dzięki gościnnemu występowi p. Platówny z p. Mayem, a w drugim przedstawieniu z p. Mossakowskim; z miejscowych sił dorównywała gościom klasą głosu p. Hupertowa; zespół baletowy okazał wysoką klasę. „XI koncertem symf." dyrygował Feliks Nowowiejski. Odegrano uwerturę do jego oratorjum „Syn marnotrawny", koncert skrzypcowy Mendelsohna (wyk. St. Pawlak) i IX symfonję Brucknera. Opera „Mignon" Thomasa wystawiona siłami zespołu poznańskiego dała świadectwo wysokiej klasy tegoż zespołu. Hupertowa, Olgina, Musielewska, Czarnecki i Urbanowicz, przyczem paniom nietylko z grzeczności należy się pierwszeństwo, byli siebie nawzajem godni „Traviata" z Ewą Bandrowską zgromadziła tłumy publiczności na sali. XII koncert symf. zamknął bogaty i oficjalny sezon. W programie znalazła się uwertura do „Wesela Figara", koncert Es-dur Mozarta i Beethovena IX symfonja. Dyrygował dr. Z. Latoszewski. W wykonaniu symfonji brał udział kwartet solistów (Kamieńska, Jarochowska, Czarnecki, Heising) i chóry „Pozn. Tow. Oratoryjnego" i „Moniuszki". Wykonanie rzeczowe i spokojne.

Teatr Polski. Ciekawie i szczęśliwie się złożyło, że w ostatnim czasie na scenie Teatru Polskiego widzieliśmy prawie wyłącznie polski repertuar. Objaw to bardzo dodatni i swoją rzadkością tak uderzający, że trzeba go zanotować. „Ciapciuś" to wprawdzie zagraniczna krotochwila, jednak przerobiona przez K. Szuberta — majstra od dobrych przeróbek i komicznych ról. Niewesoły problem ojcostwa nie budził niestety u licznie zebranych mężów tyle wesołości co problem miłostek z innej krotochwili „On i jego sobowtór". Szkoda bo i Peliński i Szubert jak i pozostali dali ze siebie dużo. Zostawiając ciapciusiów na boku przejdźmy do prawdziwie polskiego teatru, a więc: „Czwarty do brigde'a" jest najpierwszy (skolei). Dużo narobił hałasu, bo autor politycznie zaangażowany, więc mu stronnicy wypisują peany, a przeciwnicy oblewają zimną wodą. Jest to tymczasem bardzo tragiczna komedja, scenicznie znakomicie zrobiona. Figurą komedjową jest właściwie tylko Denhell (Noskowski). Strona moralna tej komedji, tak często atakowana, nie przedstawia się tak źle. Wprawdzie cała akcja opiera się na niemoralności p. Denhella, nie podejrzewamy jednak p. Siedleckiego, żeby taką moralność propagował; przeciwnie, cała akcja komedjowa ma pokazać do jakich to następstw „podwójna moralność" prowadzi. Nie jest to oczywiście winą p. Noskowskiego, że publika często w nieodpowiedniem miejscu się śmiała; przecież jest to ostatecznie komedja. Wszyscy aktorzy pozostali zasługują na wymienienie: Koronkiewiczówna, Zielińska (w epizodzie), Bogusławski i Ziejewski. „Ten i tamten" Kiedrzyńskiego to druga polska sztuka, która jeszcze farbą pachnie. Jest to komedja o dużem zacięciu satyrycznem. Niedostatecznie zarysowane są sylwetki niektórych osób, niektóre sytuacje psychologicznie nieuzasadnione. Całość zato toczy się wartko i interesująco. Brenoczy i Zasadzianka zasługują na uznanie. Noskowski i Tylczyński doskonale przeniknęli swe role, Peliński trochę niewyraźny. „Zemstę" — Fredry wystawiono w stulecie pra-premjery i 30-lecie pracy scenicznej dyr. M. Piotrowskiego. Starsze pokolenie aktorskie pokazało tu młodemu jak należy mówić wiersze. Bogusławski, Piotrowski, Sachnowska i Noskowski to pokolenie, które przeszło dobrą szkołę aktorską, nie wyłącznie — farsową. Z młodego pokolenia wysuwa się Pluciński (dobrze wierszem mówi); Szubert, jak zwykle, pobudzał do śmiechu. Żałujemy tylko, że ten „klasyczny repertuar" tak szybko spada do „popołudniówek" i następnie wypada zupełnie z repertuaru.

J. Deresiewicz.

LISTY Z REGJONÓW

Z OSTRZESZOWA

Wystawa regjonalna

W powiecie ruch. Zjazdy, obrady poszczególnych sekcyj, dobieranie ludzi do pomocy, szperanie po zabytkach (wszystkich gatunków), zbieranie najrozmaitszych okruchów przeszłości — to czynności wstępne do Wystawy regjonalnej, która odbędzie się w naszem mieście (nie w Kępnie!) w połowie sierpnia br. Gazety już o niej trąbią. Najgorzej było, oczywiście, z kwestją finansową, lecz wytargowaliśmy tu i tam. Budżet w wysok. 10 tys. zł już uchwalony — a P. Prezydent też na niej będzie. Całość podzielono na działy: rolniczy, przemysłowy i wreszcie kultury i sztuki. Przewodniczącą i opiekunką tej sekcji (k. i szt.) jest p. Marja z Fredrów Szembekowa (wnuczka znan. komedjopisarza), przez co bogate zbiory rodzinne Fredrów (oryginal. rękopisy komedj., akwarele, portrety członków rodziny Julj. Kossaka i t. d.) i Szembeków będą dostępne dla zwiedzających. O dalszym postępie pracy napiszę. Stefan Kadjasz.

Z KROTOSZYNA

W kresowym Krotoszynie zaznacza się od pewnego czasu coraz żywszy ruch na polu kulturalno - artystycznem.

Duchem dobrze pojętego regjonalizmu tchną wszelkie poczynania młodych krajoznawców gimnazjum krotoszyńskiego, z p. prof. W. Reisingiem i M. Jaglą na czele.

Dnia 6, 7 i 8 grudnia dali oni nam nowy, piękny obraz swej wartościowej pracy regjonalistycznej, — wystawili bowiem starannie na scenie Hotelu Wlkp. swój „obraz ludoznawczy" — „Wesele krotoszyńskie". To widowisko regjonalne wypadło w interpretacji scenicznej b. ciekawie. Jego fabuła i barwność były dla widzów czemś naprawdę ciekawem i frapującem. Zdrowe, proste dowcipy sypane raz poraz „z rękawa" małego parobczaka Kubusia rozśmieszały często całą widownię, piękne melodje pieśni ludowej rozbrzmiewały donośnie, a siarczyste tany „wiatraka" wywoływały burzę oklasków przy otwartej kurtynie. — Trzy przedstawienia przy szczelnie wypełnionej sali. — Wszystko to świadczy najlepiej, że sztuka Michała Jagły (lekko stylizowana przez aktorów) miała wielkie powodzenie a młodzi aktorzy odnieśli pełny sukces.

Obecnie regjonaliści gimnazjalni pracują „całą parą" nad przygotowaniem do druku obszernego zbioru pieśni ludowych powiatu krotoszyńskiego (melodje, teksty i komentarze). Obok niedawno ogłoszonego drukiem „Wesela krotoszyńskiego" będzie to dzieło w ich dotychczasowym dorobku niewątpliwie najcenniejsze.

W grudniowym n-rze ich „Strażnicy Kresowej" w artykule pod tyt. „Idziemy" czytamy:

„Dumni jesteśmy z tego, że idziemy bez rozgłosu, reklamy, bez zachęty, a nawet wbrew złowróżebnym przepowiedniom. Moc naszą czerpiemy sami z siebie i to w nas utwierdza wiarę i gruntuje pewność, że żadnym przeszkodom nie ulegniemy." Brawo, młodzi towarzysze!... I słusznie „Dumni jesteście z tego, że znaleźli się wśród was pracownicy, którzy, da Bóg, chlubą się staną nietylko naszego zakątka.

Stefan Wojcieszak.

RECENZJE

pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

X. Leonard Kurpisz:

Kronika kościołów chodzieskich

Chodzież 1933. Nakładem autora.

Coraz bardziej wzmaga się u nas ruch regjonalistyczny, nieograniczający się do romantycznego, niejednokrotnie snobistycznego zwrotu do ludu, ludowości i ludowych motywów, ale ruch ten może się poszczycić poważnym dorobkiem naukowym. Badanie zwyczajów ludu, jego gwary, strojów, historji poszczególnych regjonów mają już charakter nietylko literackiej impresji.

Pomnożył tę ilość poważnych prac z tego zakresu X. proboszcz Leonard Kurpisz swoją „Kroniką Kościołów Chodzieskich" (Chodzież 1933, nakładem autora). Dzieło robi na pierwszy rzut oka wrażenie suchej kroniki. Dopiero w czasie lektury wyłania się bogactwo materjału obyczajowego, który znakomicie naświetla kulturę i jej etapy w ziemi chodzieskiej. A może nie tylko w ziemi chodzieskiej. Naprzykład jakże charakterystyczną dla dawnych czasów jest olbrzymia rola duchowieństwa, skoro konsystorz zakazuje Żydom (1670) budowy synagogi pod karą 500 zł węgierskich. Albo jeszcze w r. 1725 kiedy Żydzi namówili, czy zmusili do porzucenia wiary katolickiej konwertytę i chrzest jego unieważnili, wówczas sprawę sądzi sąd biskupi, który wydał wyrok, mocą którego skazał gminę żydowską na 3000 zł kary i 50 grzywien kosztów.

I jakże charakterystycznym jest fakt, że Żydzi byli zmuszeni do świadczeń na rzecz kościoła katolickiego. A znów za tańce z „niewiernemi Żydówkami" skazał burmistrz winowajców na 20 grzywien kary.

Wiele także mówią spory duchowieństwa ze szlachtą, które obracały się przeważnie około spraw natury materjalnej. Jak zachłannym był Polak na pieniądze, to najsilniej uwydatnia się na polskiej reformacji. Bo nie ulega kwestji, że nie względy ideologiczne skłaniały Polaka na stronę protestantyzmu. Była to tylko droga jedyna do uwolnienia się z pod jurysdykcji sądów biskupich i świadczeń na rzecz kościoła. Nie jestże charakterystycznym fakt podany w akcie wizytacyjnym z roku 1865, w którym wizytujący X. Bp. piętnuje katolika za przejście na protestantyzm. A motyw przejścia: podwyższenie podatku o kilka złotych.

Dowiadujemy się o szerokiej naturze polskiej szlachty, żyjącej nad stan, nie pytającej się o jutro. A potem konsekwencje: w roku 1805 umiera szlachcic Boczkowski w największem ubóstwie, „takich Boczkowskich w owych czasach było spewnością bardzo wielu", dodaje autor.

Z dzieła Ks. Kurpisza czerpiemy wiele cennych wiadomości o stosunku Polaków do Niemców z czasów zaborów. Małżeństwa mieszane, Niemcy chrzestnymi Polaków, częste szczególnie fakty za czasów Fryderyka Wilhelma IV., którego osoba cieszyła się w Wielkopolsce szczególną sympatją ze względu na stosunki łączące go z rodziną Radziwiłłów. Ale już w r. 1877 miasto zmieniło nazwę odwiecznie polską na Kolmar.

Nawet stosunki zdrowotności poznajemy z dzieła X. Kurpisza. Autor na podstawie statystyk stwierdza ilość zgonów każdego roku i uderza go dysproporcja między rokiem 1758 (230 zgonów) a 1759 (84 zgony). W innych latach 75 do 100 zgonów. Stąd wniosek, że w 1758 r. panowała zaraza grasująca ówcześnie w Europie. Znów w czasach napoleońskich wzmaga się ilość zgonów do 180, gdy w dwa lata później 86.

Statystyka chrztów i ślubów stanowi cenny materjał do poznania wzrostu ludności Chodzieży i stosunku liczebnego Polaków do Niemców.

A walka między rodami szlacheckiemi jest klasycznym obrazem stosunków panujących w połowie XVIII wieku gdy szlachta sama wymierzała sobie sprawiedliwość, ponieważ władze państwowe pogrążone były w niemocy.

Ktoby narzekał na zepsucie dzisiejszych czasów, temu wartoby przeczytać akt wizytacyjny z r. 1865. „Z żalem wyznać należy, że w tutejszej parafji panują zgorszenie i grzechy jawne tj. konkubinaty pijaństwo... są tacy, którzy od wielu lat do sakramentów nie przystępują". Dalej piętnuje akt wizytacyjny mieszane małżeństwa, przechodzenie na protestantyzm, niezachowywanie postów, dzieci nieprawego łoża (co 8 dziecko nieprawego łoża).

I charakteryczne: „dzieci na naukę do pierwszej spowiedzi przez policję trzeba było sprowadzać, a nawet dorosłych do zapisu chrztów".

Bractwo Wstrzemięźliwości zaprowadzone w roku 1845 niedługo przetrwało, bo osoby do niego należące „odpierały się od wódki tylko na krótki czas".

Podane przykłady są cząstką porozrzucanych po dziele rysów obyczajowych, stanowiąc jego dodatnią stronę. Gdyby bogatym materjałem, zebranym przez autora rozporządzał beletrysta, uczyniłby z książki bardzo poczytne dzieło beletrystyczno-naukowe (np. Wasylewski). Dzieło Ks. Kurpisza stanowi doskonały materjał dla historyka, a jasność stylu czyni z książki zajmującą lekturę nie tylko dla fachowca ale i dla laika.

Określenia archaiczne nadały dziełu pewną powagę dawności (Mielcuch, folusz, meszne, czecheł, wyderka) a wyrażenia typowe dla Wielkopolanina wycisnęły na niem piętno regjonalistyczne (tudotąd, tutędy, docna, tutejszy itp.).

Dzieło zawiera bardzo bogaty materjał ilustracyjny. Wszystkie zdjęcia artystycznie wykonał prof. Piotr Laurecki. Książka wydana niezwykle starannie w Drukarni Tow. św. Michała Archanioła w Miejscu Piastowem. Dzieło zaopatrzył autor w skorowidz miejscowości, nazwisk, w tablice genealogiczne kolatorów i dwie mapki schematyczne dawnej i dzisiejszej parafji chodzieskiej.

Przedmowa Ks. Kanonika doc. Kozierowskiego wyjaśnia pochodzenie nazwy Chodzieży; według jego słów dzieło Ks. Kurpisza „jest piękną pamiątką dla miasta i parafji chodzieskiej oraz pomnikiem pracy dla szanownego duszpasterza".

Antoni Harasiewicz.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.

Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu", we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.

Redakcja: Poznań, ul. Działyńskich 7. — Przedstawiciel redakcji J. Deresiewicz przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 3—4. — Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 - Tel. 8.45.48. Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.

Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.